


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/zbrodnie-sowieckie/71469,Swiatlo-na-stepie.html>

 Fot. ze zbiorów ks. Arkadiusza Pańnika

ARTYKUŁ

Światło na stepie

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: KATARZYNA MICHALAK 20.07.2020

Sowieci, po napaści na Polskę we wrześniu 1939 r., w latach 1940–1941 czterokrotnie deportowali tysiące Polaków z okupowanych ziem II RP na północ europejskiej części Rosji, na Syberię i do Kazachstanu.

Wśród zesłańców znalazła się nastoletnia Henryka, wywieziona w głąb Związku Sowieckiego razem z ojcem i młodszym rodzeństwem. Po latach Henryka Paśnik, rocznik 1923, i jej wnuk, ks. Arkadiusz Paśnik, opowiedzieli w Polskim Radiu Lublin o jej doświadczeniach sprzed ponad pół wieku: cierpieniach, doznawanych okrucieństwach, ale i o miłości. Oboje są autorami książki *Obietnica*, wydanej pod patronatem IPN w 2014 r. Poniższy tekst powstał na podstawie zapisu radiowego reportażu.

Wnuk (ks. Arkadiusz Paśnik):

Tutaj jest ziemia i...

Dziennikarka (Katarzyna Michalak):

Taki piach właściwie...

Wnuk:

Tak, to jest ziemia, taki step, step kazachstański. Napisałem, że jest to ziemia z grobu Grigorija Oganisjana i jego rodziców. I data „21 lipca”, w tym dniu ją stamtąd zabrałem. Widać nawet rośliny, które tam rosną. Już po roku uschnięte, ale... Jest to dla mnie relikwia i stoi w najważniejszym miejscu w moim domu, w moim regale. Ja mam [tę ziemię] w takich większych urnach, a babcia i mama mają w mniejszych.

Pierwszy impuls do zajęcia się tą tematyką poważniej pojawił się może dwadzieścia lat temu. Wkraczałem w życie kapłańskie, kiedy babcia przy wielkanocnym bądź wigilijnym stole, widząc swoje dzieci, całą rodzinę, wróciła do tamtych wydarzeń. Chciała o nich opowiadać, podzielić się z najbliższymi. Ale to był nie czas i miejsce na to. Ten wir życia, ta gonitwa, ten wyścig szczurów, powodował, że ta historia jakoś była gdzieś obok. Widziałem taki smutek w babci oczach, szukała powiernika swojej historii. Ci umarli wracali, gdzieś byli w babci duszy. Babcia nie mogła sobie z tym poradzić.

Mijał czas, po jakimś spotkaniu, kiedy wracałem do domu, przyszła mi taka myśl do głowy, że może ja jestem tą osobą, która powinna głębiej zająć się tą historią. W pewnym momencie, kiedy rozmawialiśmy, zaproponowałem w taki naturalny sposób: *Babciu, czy mogłabyś to zacząć opisywać w jakiś systematyczny sposób*. Proszę sobie wyobrazić, że powstało sześć zeszytów. Babcia odpowiedziała na to wręcz natychmiastowo. Ta babci potrzeba przelała się we mnie. Stała się także moją potrzebą.

Babcia (Henryka Paśnik):

Mówię pani, to się nie da opowiedzieć, ale dobrze, że teraz chociaż można opowiedzieć, wie pani. To i to dobre, że teraz można opowiedzieć. Oj, Boże, Boże...

Ta historia zaczyna się tym ciepłym domu, pieczonego chleba, opieki mamy, taty. Ten dom rodzinny [to] Andrzejówka. Wołyń, lata trzydzieste. Aż do momentu tego sądnego dnia, jakim był 10 lutego 1940 r., kiedy Sowieci wtargnęli do domu.



**Dzieci z klasy I i II szkoły
powszechnej w Andrzejówce i
nauczyciel Franciszek Łysek, lato
1930 r. W drugim rzędzie od góry**

druga z lewej: Henryka, następna
- Janina, jej starsza siostra. Fot.
ze zbiorów ks. Arkadiusza
Paśnika

To była sobota, 10 lutego. 40 stopni mrozu wtedy było. Był okropny mróz. Ja patrzę przez okno, jadą jakieś sanie do nas. Patrzę, Sowietci wysiadają. Na dwoje san przyjechali. Weszli do domu, ojca aresztowali, od razu skuli...

Wnuk:

Odczytali na środku izby wyrok, który brzmiał mniej więcej tak – przesiedlamy was w inną obłasc, macie 40 minut na spakowanie się. W ciągu tych 40 minut babcia pakowała to, co można było spakować. Jedzenie, ubrania, przebierała dzieci.

Babcia:

Co ja mogłam zabrać? Zaczęłam ubierać te dzieci. No, to one... tu płacz, tu strach. Mówię, puście chociaż brata Bolka, niech on coś zabierze do jedzenia.

Wnuk:

Była siedemnastoletnią dziewczyną, która w tym momencie miała pod opieką pięcioro młodszego rodzeństwa, ponieważ jej mama pojechała do Garbowa, aby swoją najstarszą córkę odwiedzić.

Babcia:

Całe szczęście, że mieliśmy dużo, dużo pościeli, bo moja mama hodowała gęsi. Otuliłam więc dzieci w te pierzyny, no, bo wiadomo, poubierało się je, ale czterdziestostopniowy mróz to jest zimno strasznie. I zawieźli nas dwanaście kilometrów do Zwiniacz, do stacji. Jak przyjechaliśmy, to tam już stał rząd towarowych wagonów. Olbrzymi skład.

Załadowali nas. Tam był taki ziąb, bo to były, nieogrzewane bydlęce wagony. Zimno było niesamowicie. Taki szron dosłownie był na ścianach przecież. A jeszcze przed drogą zastanawialiśmy się: „Gdzie nas będą wieźć? Na wschód czy na zachód?”. Trudno się było zorientować w wagonie. Bo to nie wiadomo.

Patrzymy, wiozą nas na wschód. No i zaczęliśmy śpiewać: „Kto się w opiekę...” – bo tylko to nas ratowało. Tak jechaliśmy cały dzień. Ani ubikacji, ani nie ma żadnego piecyka, żeby zapalić. No dosłownie – trzeba umierać, zdaje się. Ale my mówimy: *Nie, musimy się trzymać.*

To była sobota, 10 lutego. 40 stopni mrozu wtedy było. Był okropny mróz. Ja patrzę przez okno, jadą jakieś sanie do nas. Patrzę, Sowieci wysiadają. Na dwoje sanie przyjechali. Weszli do domu, ojca aresztowali, od razu skuli... Odczytali na środku izby wyrok, który brzmiał mniej więcej tak - przesiedlamy was w inną obłasc, macie 40 minut na spakowanie się.

I tak na tych narach rozłożyliśmy pierzyny i poduszki, i te dzieci tak leżały w tym wszystkim, i myśmy tak leżeli. Bo to były nary tak wąskie, że tam się nie usiadło, tylko leżeć można było. Były trzy piętra, bo oni chcieli jak najwięcej ludzi wywieźć. No i zaczęli mężczyźni się do drzwi dobijać, żeby ktoś przyszedł, żeby nam coś, jakąś ubikację, czy coś, zrobili. Przyszedł Ruski z siekierą, wyrąbał dziurę w podłodze i mówi: to wasz wychodek. My mówimy: *Ale zimno*. To nam przynieśli piecyk. Taką kozę i dali trochę węgla. No, to już mężczyźni palili. Ale z tą dziurą w podłodze to była rozpacz, bo to wstyd. Jak to się pójść załatwić? Bo dzisiaj to jakoś tak już zupełnie inaczej. A kiedyś? Gdzież to dziewczyna młoda czy chłopak pójdą tam, gdzie są dorośli ludzie. Do tego strasznie wiało. Jakąś kurtkę starą ktoś miał, to zatkaliśmy tę dziurę. Ale smród był niesamowity.

Dzieci leżały jak trusie. Nie płakały. Chleb jeszcze był, bo chleb pozwolili zabrać. To się dawało po kawałku chleba dzieciom...



**Rodzina Świderskich w
Andrzejówce na Wołyniu, wiosna
1938 r. Od lewej: Bolesław,
Andrzej - ojciec, Henryka, Józefa -
matka, Tadeusz. Poniżej od lewej:
Zygmunt, Maria i Adolf. Fot. ze
zbiorów ks. Arkadiusza Pańnika**

Wnuk:

Pojawiały się kolejne zeszyty i kiedy je przeglądałem, to zobaczyłem, że mam niebywałą pamiątkę historyczną, którą należy ocalić od zapomnienia. Po przejrzeniu pierwszego zeszytu widziałem chaos. Mogę go porównać do rozrzuconych fotografii, które trzeba poskładać w jakąś sensowną całość. Babcia miała takie błyski wspomnień. Trzeba też pamiętać, że pisze to z perspektywy sześćdziesięciu lat od tamtych wydarzeń, chociaż one są bardzo żywe w niej. Trzeba było nadać temu jakiś wymiar. A byłem wtedy pod ogromnym wrażeniem lektury Księgi Hioba, któremu – jak wiemy – wszystko zostało dane, potem wszystko zostało odebrane. Po to, aby to otrzymał na nowo, w sposób właściwy. Uważam, że wtedy naprawdę coś posiadamy, kiedy umiemy to oddać.

Splotła się zatem ta historia z Księgą Hioba. Babcia staje się wręcz tym Hiobem. Ta próba wiary Hioba, którym jest moja babcia, trwała sześć lat.

Babcia:

Bo ja tylko rozpaczałam, że mamy nie ma. Mamy nie było z nami. Mój brat najmłodszy miał 6 lat. Tato mi się załamał od pierwszej chwili, wie pani. Nie było taty. Nie obchodziły go dzieci. Nic. Ja te dzieci cały czas przy sobie trzymałam, jak tylko mogłam.

Z nami jechała taka rodzina, Wojtale się nazywali. Ta pani miała dwoje małych dzieci i trzecie malutkie, które miało pięć dni. To dziecko dojechało do Kotłasu, tam już do tej ostatniej stacji. I albo się udusiło, albo z głodu umarło. Ta pani trzymała je owinięte w chustkę, to mogło się i udusić. To był pierwszy nasz trupek. Co z nim zrobić? Bo nas tam już wygruzili do takich baraków, ale też cały czas warta chodziła i nie wolno było wyjść. Przeszedł Sowiet i wydierał tej matce dziecko. To była rozpacz. Tego się nie da opowiedzieć. Później człowiek się już przyzwyczai. Człowiek jakiś dębowy się robi, czy tak myśli, że tak musi być. Nie wiem. Nie mam pojęcia. I zabrali to dzieciątko. Gdzie właściwie je pochowali? Nikt nie wie.

Zawieźli nas w takie lasy, gdzie było widać niebo i ziemię, i las. Więcej nic się tam nie widziało. Tam były baraki. To były takie długie baraki. To nas było, ja wiem? Z jedenaście rodzin w takim baraku. Dali każdemu siekierę, piłę i drzewa piłować do lasu. A przy drzewie była okropna praca.

Myśmy tylko w Boga wierzyli, że musimy kiedyś wrócić do Polski. Że ta Polska będzie. I tak na duchu nas podtrzymywali. Mój tato na przykład był wielkim patriotą. On nam zawsze mówił: *Dzieci, musimy wrócić do Polski*. Chociaż nie dbał o dzieci, bo się załamał od razu. I tak jak się zesłiliśmy, to tylko mówiliśmy o jedzeniu. Co byśmy zjedli. Co w domu się gotowało. Jak pojedziemy, to będziemy gotować. Człowiek był głodny. Proszę pani, przez sześć lat nie byłam najedzona! Mówiłam: *Boże, daj mi się raz do syta najeść chleba i wcale mi nie będzie szkoda umierać*. Umrę, bo mam pełny żołądek. Ja nie mogłam patrzeć, jak moi bracia po dwadzieścia deko chleba dostawali. To było na raz. A co reszta, cały dzień? – pytam się. Dobrze, jak te jagody były i maliny, to jeszcze dzieci jadły. Ale zima przychodziła i nie było co jeść. A myśmy tam dwie zimy byli. Bo później przywieźli nas z Sybiru do Kazachstanu. To trwało trzy miesiące.

Wnuk:

Napisałem, że: „babcia we śnie wciąż pędzi pociągami bestią i nie może zasnąć, kiedy w domu kończy się chleb”. Kiedyś mi o tym powiedziała: *Arek, ja nie pójdę spać, jak ja nie mam w domu chleba. Ja nie usnę. Ja się boję.*

Transport, w którym jechała babcia, został skierowany do takiej miejscowości Szu. To jest już niedaleko chińskiej granicy. Jakby dzisiaj sytuować, między Tarasem a Ałma Atą.



Zdjęcie wykonane w Nowotroicku (obwód dżambulski, rejon Szu), 3 grudnia 1941 r., w dniu przyjazdu do Kazachstanu. W górnym rzędzie od lewej: Andrzej Świdorski, Stanisław Reszko, Romek Reszko, Stasia Mendykowa, Bolesław Świdorski (brat Henryki), Henryka Świdorska, Anna Terlecka i Władysław Wojtal. Fot. ze zbiorów ks. Arkadiusza Paśnika

Babcia:

Ciemna noc. Boże kochany...

Wnuk:

I tam na stepie, w miejscowości Enbek, ich porzucono.

Babcia:

Wprowadzili nas do takiej chałupki. Takiej ziemianki...

Wnuk:

Powiedzieli: *Tu będziecie żyć, tu będziecie umierać, tu będziecie pracować.*

Babcia:

Nie wiemy, co robić. Ani łóżka, ani stołu, nic, nic. Na środku taki kocioł obmurowany i tam palenisko jest pod tym kotłem. I to tyle wszystkiego tam jest.

Wnuk:

Tam żyli przez cztery lata.

Babcia:

Przespaliśmy tę noc. Rano przyszedł ten przedsiębiorca, zebrał wszystkich, którzy tam przyjechaliśmy, i mówi, że pójdziemy do kołchozu. Do roboty pójdziemy. Poszliśmy watę zbierać. Wata jest przepiękna, jak rośnie. Jak różyczki, tak pękają i ona wychodzi. To już było dobre, bośmy tak trochę tej waty, gdzie tam kto mógł, to trochę ukradł do domu. W wacie były ziarenka takie malutkie, z których oni mówili, że olej tłoczyli. To myśmy te ziarenka wybierali i jedli. Gryźliśmy tak, żeby cokolwiek zjeść. Przepiękna jest bawełna, jak rośnie.

Nic tam nie było. Nic. Ale człowiek się do życia rwał, proszę pani. Człowiek chciał przeżyć! Myśmy chcieli przeżyć. Chociaż oni nam powiedzieli, że my już nie wrócimy. Jak do Kazachstanu nas zabrali, to nie było nawet listów, bo to już Niemiec [nadchodził], wojna była. Myśmy nic nie wiedzieli. Oni nie wiedzieli o nas tu, a myśmy nie wiedzieli o nich tam.

Załadowali nas. Tam był taki ziąb, bo to były, nieogrzewane bydlęce wagony. Zimno było niesamowicie. Taki szron dosłownie był na ścianach przecież. A jeszcze przed drogą zastanawialiśmy się: „Gdzie nas będą wieźć? Na wschód czy na zachód?”... Patrzymy, wiozą nas na wschód. No i zaczęliśmy śpiewać: „Kto się w opiekę...” – bo tylko to nas ratowało.

Była taka pani, żona pułkownika. Kawecka się nazywała. Była tylko z córką swoją. Ta córka, już panienka, była starsza ode mnie. I ona jej zmarła tam, w tym kołchozie. Mieszkały w takiej kubitce jak my. Matka z tej rozpaczy, wzięła ją – jeszcze ona musiała być niesztynna chyba – i wsadziła do dużego czarnego kotła. I zaczęła palić tam pod tym. Widocznie miała nadzieję, że jak się ogrzeje, to ożyje. Jak poczuła swąd tego mięsa, to już nie było mięso, bo to każdy miał skórę i kości tylko – to zaczęła ją jeść z głodu. I ktoś do nas przyszedł. Pamiętam, jakiś Kazach przyszedł i mówi: *Idźcie, zobaczcie, co tam się u tej Kaweckiej dzieje*. My przychodzimy, ona nam nie chciała otworzyć, ale tam drzwi takie były, że jak się pchnęło, to się otworzyły. No i zabraliśmy tę Danusię, pochowaliśmy ją. Za kilka dni ta mama też umarła. Obydwie zmarły. I leżą razem z moim ojcem pochowane.

Wnuk:

Eh... To jest jakby stopniowe otwieranie się mojej babci, także na mnie. Bo ta historia gdzieś była w babci sercu na dnie. Babcia nigdy o tym z nikim nie rozmawiała. I teraz powiem o rzeczach, które spinają wszystko. Bardzo bolesnych. W roku '42 byli bardzo nękanii, żeby przyjąć obywatelstwo ZSRS. Babcia mówi, że Sowiet raz uderzał pięścią w stół, raz na odlew pięścią w twarz, żeby zmusić do podpisania obywatelstwa. Mówi, że jako siedemnastolatce wybito jej wiele zębów. I... odmówiła, więc skazano ją na dwa lata więzienia, w Semipałatyńsku. Jeszcze jakieś może dwieście kilometrów od miejsca pobytu w '43 roku. Proszę sobie wyobrazić, co musiała czuć, opuszczając swoje rodzeństwo, ale musiała zważyć światy. Albo podpiszę i zostanę jakby wcielona i nigdy nie zobaczę ojczyzny, albo jednak nie podpiszę i złożę to w ręce Boga. Prawda, ten Hiob ciągle nawraca.



**Zaświadczenie o skazaniu przez
Sowietów z 8 marca 1944 r. Fot.
ze zbiorów ks. Arkadiusza
Paśnika**

Rok '44, marzec, wtedy zostaje zwolniona z tego więzienia. Wraca z wielką radością do kołchozu. A tam dowiaduje się, że tata nie żyje.

Babcia:

Mnie zabrano do więzienia, dzieci wzięli do sierocińca, to już tato został bezradny sam. I tak chodził co kilka dni do tych dzieci do domu dziecka. One dostawały po dwadzieścia deko chleba. To jeszcze odłamywały kawałeczek, żeby dać tacie, jak przyjdzie, żeby on coś zjadł. Kiedyś przyszedł do nich. Siostra Marychna

opowiadała mi: *Odprowadziliśmy tatę, tak jak zawsze. On był w drugim kołchozie, w tym Enbeku mieszkał. I mówiła: Tato stanął i tak się za nami patrzył. Myśmy już taki kawał odeszli (ich tam troje było). A tato stał i patrzył za nami, a mnie tak aż coś tknęło, czego ten tato tak patrzy. Był bardzo słaby. Wszedł do tego kołchozu, gdzie mieszkał, i w takim rowie – widocznie albo odpoczywał, albo mu się słabo zrobiło – no i tam w tym rowie umarł.*

Wnuk:

Tłumaczy jej brat Tadzik, że na drugi dzień o świcie ktoś do nas przybiegł i powiedział: *Wasz ojciec leży w rowie nieżywy, idźcie go pochować.* I mówi: *No, byliśmy dziećmi i nie daliśmy rady. Tata był w takiej starej jesionce. Zdjęliśmy z niego tę jesionkę, położyliśmy go na tej jesionce, i w tej jesionce wręcz zawlekliśmy go na pobliski cmentarz.* Cmentarz to też szumna nazwa, ponieważ to było miejsce, w którym były groby zesłańców.

Dzieci zaniósł tatę na cmentarz, wykopały, tak jak potrafiły, w stepie dół. Położyły tatę, nakryły jesionką, pomodliły się, tak jak potrafiły. Babcia słuchała tego i opowiadała mi, że wtedy po raz pierwszy zrodził się w niej wyrzut sumienia, który męczył ją aż do ubiegłego roku. *Gdybym przyjęła to obywatelstwo, to nie zabraliby mnie do więzienia. Opiekowałabym się tatą i tata by nie umarł.* Ja czuję to poczucie winy babci, to jest takie niewytłumaczalne.



**Henryka Świdarska kilka miesięcy
po powrocie z zesłania, Grabów,
1946 r. Fot. ze zbiorów
ks. Arkadiusza Paśnika**

Potem w roku '45 udaje się babci zdobyć pracę w tym sierocińcu, więc jest blisko swoich dzieci, swojego rodzeństwa. I tam dzieje się rzecz niebywała. Moja babcia jest młodą, piękną kobietą. Poznaje Grigorija Oganisjana, również zesłańca, z Armenii, z Erewania, który dzieli taki sam los. Myślę, że to jest miłość od pierwszego wejrzenia.

Babcia:

To była taka jakaś szalona miłość. Człowiek jest tylko człowiekiem. Przychodzi moment, kiedy człowiek wariuje po prostu. I już chce sobie to życie ułożyć. Ja już miałam dość tej samotności. Po roku chyba wyszłam za niego za mąż. Tam.

Wnuk:

Moja babcia tam, na zesłaniu, w sercu tego piekła zachodzi w ciążę. Tym dzieckiem jest moja mama.

Przychodzi druga data, bardzo bolesna, którą gdzieś ma wyrytą w sercu, jest to 11 kwietnia '46 roku. Przez 6 koszmarnych lat trzyma ich przy życiu tęsknota za powrotem do kraju, do domu, do Polski. Kiedy przychodzi ten moment, że można wracać, babcia w wigilię tego dnia, czyli 10 kwietnia '46 roku, biegnie na cmentarz i składa obietnicę swojemu ojcu. Na grobie swojego ojca mówi: *Tato...*

Babcia:

...Tato! Ja przyjadę po ciebie, czy wcześniej, czy później, ja cię stąd zabiorę! Żebyś nie leżał w tej obcej ziemi. Ty tak chciałeś wrócić do Polski, zobaczyć, jak to będzie. Bo mój tato był legionistą Piłsudskiego i on tak chciał wrócić. Ja mówię: Tato, ja cię zabiorę, chociaż i po śmierci, ale nie mogłam go zabrać. To mnie całe życie gryzło. Mówię: Boże! Nawet mu nikt świeczki nie zaświeci.

Wnuk:

Zabiera garść ziemi z grobu, wraca do Griszy i babcia opowiada mu o tej obietnicy... Ma rozdarte serce.

Babcia:

Nam nie mówili nigdy, że my wrócimy do Polski. Nie wiadomo, dlaczego było to tak nagle, ktoś przyszedł i mówi: *Słuchajcie, zapisujcie się. Tu jest taki pan i wracamy do Polski.* Byłam w siódmym miesiącu ciąży i nie wiedziałam, co mam zrobić!



**Abdul-Ali pokazuje miejsca po
mogiłach i lepiankach na stepie.**

**Fot. ze zbiorów ks. Arkadiusza
Paśnika**



Zbieranie ziemi z grobu Griszy.

Fot. ze zbiorów ks. Arkadiusza

Paźnika

Czy zostać z nim, a dzieci by odjechały? Wiedziałam, że mama jest gdzieś i odnajdę ją w Polsce. To było okropne dla mnie. To było coś, czego się nie da opisać. Ale jak odjeżdżałam i rozstawałam się z nim, to on powiedział: *Odnajdę cię. Nie martw się.* On też chciał jechać, ale go nie puścili, bo on już miał obywatelstwo rosyjskie.

On mnie z pociągu wyciągał, kiedy siedziałam w takim towarowym wagonie. Stał i krzyczał do mnie: *Nie jedź!* Nie wiedziałam, co zrobić. Tu bracia i siostry. No, żal ich tak samych puścić. Jak ich zostawić? Postanowiłam, że wrócę. Pociąg ruszył i trzeba było odjechać. Ale on mi powiedział: *Ja cię odnajdę.*

Wnuk:

Zostaje złożona druga, bardzo poważna obietnica. Na ponad sześćdziesiąt lat, dokładnie sześćdziesiąt cztery, zostają zawieszane te obietnice. Proszę sobie wyobrazić, że moja mama nigdy nie widziała swojego ojca. Nawet kiedyś chciałem się pokusić, żeby artystka namalowała go na podstawie opowiadania babci, ale jakoś się powstrzymałem. Tak jak na początku byłem bardzo zapalony, tak potem wycofałem się, bo jednak to będzie czyjaś ręka i czyjaś wizja. Kogoś, kto nigdy nie widział, kto tylko korzysta z babci pamięci. Pomyślałem sobie, że niech tak zostanie. Nie musimy wszystkiego wiedzieć.

Moja mama przez całe życie tęskniła za tym. Może nawet jakoś miała pretensje do Pana Boga? Może do babci nie, ale do Pana Boga, że nawet zdjęcie się nie zachowało? Jest taki list mojej mamy. Ona to pisze po latach. Nie przeczytam całego, ale pierwsze słowa: *Tato! Niewidziany, nieznany, nawet fotografia zginęła w tragicznych okolicznościach. Ale mama zachowała pamięć o Tobie. Ciągle żywą i bolesną...*

Proszę sobie wyobrazić tęsknotę dziecka, które chce zobaczyć twarz ojca. Jak we mnie była ta ogromna tęsknota. Zachowało się kilka zdjęć z zesłania. Ludzie przywozili. Tam byli różni mężczyźni. Powiększałem te zdjęcia. Mówię: *Babciu, może to jest mój dziadek? Przypatrz się dobrze....*

- *Aruś, nie. Ja bym go od razu poznała. Ja wiem, że ty potrzebujesz. Ale to nie jest twój dziadek, nie. Jesteś podobny do niego. Bardzo! Spójrz w lustro. Jesteś podobny do niego.*

Te obietnice tak nabrzmiały. Wpadłem na taki pomysł, że ja tam pojedę. Po prostu tam pojedę. Skoro zostałem powiernikiem tych obietnic, to spróbuję zdjąć z babci – może to zakrawa na pychę – ten ciężar, ten ból, to cierpienie.

W swojej głowie ułożyłem to tak. Pojadę tam, znajdę to miejsce, znajdę ten step. Jako kapłan odprawię tam Mszę świętą na tym stepie. Wezmę ziemię z tego miejsca i przywiozę ją babci.

Babcia:

Jak Aruś powiedział, że pojedzie do Kazachstanu, to ja mówię: *Szukaj tej rodziny*. No i on pojechał.



**Zdjęcie Griszy z listem do
Henryki. Fot. ze zbiorów ks.
Arkadiusza Paśnika**

Wnuk:

Świadomie i dobrowolnie z wielkim pragnieniem wybrałem kolej transsyberyjską. Lipiec zeszłego roku. Mamy wcześniej kupione bilety Moskwa-Ałma Ata. Jadę z moim przyjacielem, księdzem Maćkiem. Sam bym się nie wybrał w taką podróż. Zresztą nawet kolej nam odradzano, że jest niebezpiecznie. Tak też było. Raz mało nie byliśmy usunięci z pociągu. Wyrzuceni wręcz.

Kiedy wsiadamy do pociągu, czterech konduktorów stoi przy naszym wagonie. Podaję bilet. Konduktor w szoku. Patrzy. *Czy wy zdajecie sobie sprawę, że będziecie tutaj cztery dni w tym pociągu?* Mówimy, że tak, że my tego chcemy. Żyjemy tak szybko tutaj, przynajmniej ja tak żyję. Gonitwa, telefony, rachunki, sprawy, jakieś niedokończone wizyty. Proszę sobie wyobrazić, że pociąg nas zamyka w sobie i zaczyna kołysać. Nie ma nic. Jest tylko ten pociąg i jesteśmy my. Tak się zastanawiałem wtedy, co zostało z tamtego czasu. Może to przeginięcie się pociągu? W prawo, w lewo. Ten dźwięk pociągu? Może ten step, który z dnia na dzień się jakoś odślaniał, taki nagi się robił. Taki szary.

Tak się chciałem wczuwać w to zesłanie. Chciałem przeżyć to zesłanie jakoś. I trochę śmiesznie wychodziłem z tym, bo leżałem w czystej pościeli. Z pełnym żołądkiem. Bezpieczny.

Poznawaliśmy różnych ludzi. Taka komunia ludzi, bo to jest na przestrzeni kilku metrów. My z Maćkiem na dole. Mamy dolne kuszetki. Po jednej stronie muzułmanka, ma ramadan. Nie rusza się z miejsca cały dzień, potem bije pokłony, modli się. Po drugiej stronie pani prawosławna, czyta sobie książeczkę do nabożeństwa. Rozmawiamy, że jedzie do mamy, że tęskni, że ma daleko... Ta bliskość ludzi pokazała mi, że jesteśmy tacy sami. Że wszyscy mamy takie same potrzeby. Takie same pragnienia. Takie same tęsknoty.

Dojechaliśmy do Ałma Aty. Tam zatrzymaliśmy się u franciszkanów. Ojciec Eliot załatwił nam przewodnika. Był 31 lipca 2013 r. Wjeżdżamy do miejscowości Enbek. Czekałem na to 20 lat. Nic nadzwyczajnego – myślę sobie. – No jestem tutaj i nic się nie dzieje. Wszystko odbywa się jakby w zwolnionym tempie. Jest ten napis

Enbek. Miejscowość jak każda inna.

Wysiadamy z samochodu. Samochód jest tam atrakcją. Wysiadamy, dzieci biegają. Na drogę wychodzi (a może już tam stał) sędziwy człowiek. Zauważyłem go w pewnym momencie. Ruszam w jego kierunku, myśląc: *Starszy człowiek, może coś pamięta*. Podchodzę i mówię: *Proszę pana, tutaj były kołchozy. Tutaj żyli ludzie, umierali. Czy pan coś wie? Czy pan pamięta?*. Taki słowotok niemalże. A on mówi, *da*, że on mnie *panimajet*. Że on rozumie wszystko, że tak, umierali, tutaj byli. A pytam: *Gdzie umierali?* On mówi: *Tu*. Takimi spracowanymi rękoma pokazuje na ziemię: *Tu, gdzie stoisz. Tu umierali*.

- *A Polacy?*

- *Pokażę ci, gdzie Polacy mieszkali*. Po prostu ten człowiek... Moja mama to pisze w liście, że ten człowiek tam był i czekał na mnie.

Idziemy dobre pięć minut na step. Pokazuje mi zagłębienia w ziemi. Wiele zagłębień. Mówi: *Tutaj stały lepianki*. W '55 roku przyjechały buldożery na rozkaz władz sowieckich, które kazały wszystko zrównać z ziemią. Zniszczyć wszelki ślad. Po kołchozach, po cmentarzach. *Pokażę, gdzie był cmentarz.... Tu jest twój dziadek. On tu jest, ale ty go nie znajdziesz*.

Idziemy dobre pięć minut na step. Pokazuje mi zagłębienia w ziemi. Wiele zagłębień. Mówi: *Tutaj stały lepianki*. W '55 roku przyjechały buldożery na rozkaz władz sowieckich, które kazały wszystko zrównać z ziemią. Zniszczyć wszelki ślad. Po kołchozach, po cmentarzach. Mówię, że tutaj mój pradziadek gdzieś leży. On odpowiada: *Pokażę, gdzie był cmentarz*. Pokazuje mi takie miejsce wydzielone, że 100 na 100 metrów. I on do mnie mówi: *Tu jest twój dziadek. On tu jest, ale ty go nie znajdziesz*. Ja jestem w sutannie, on mówi: *Ja wiem, że ty ksiądz katolicki. Ty krzyża nie postawisz? Możesz postawić, gdzie chcesz, bo on tu jest gdzieś*. Nie potrafię tego ubrać w słowa, ale to jest tak bolesne, że przebyłem taką drogę; i jestem taki wściekły, że on tutaj jest i że ja nie mogę znaleźć dokładnego miejsca. Ze wszystkich skrawków tego pola zbieram ziemię i pakuję ją do przygotowanej wcześniej urny.

Wtedy dzieje się rzecz nadzwyczajna, według mnie. Nawet nie wiem, dlaczego to powiedziałem, ale mówię tak

do tego człowieka: *Wie pan, mam jeszcze jedno pytanie do pana, że tutaj także żył mój dziadek, Grigorij Oganisjan.*

- *Da. W MojunKumie żyją Oganisjanowie.*

Ja mówię: *Proszę pana, błagam, jedźmy do tych Oganisjanów, bo może to są ci sami Oganisjanie?.* A on mówi tak od niechcienia, że tam jest Żora. Mnie przeszyło, bo moja babcia mi opowiadała, że mój dziadek miał brata, który nazywał się Żorka. Myślę, że to jest niemożliwe, żeby oni po tylu latach jeszcze tutaj byli. Myśleliśmy, że wrócili do Erewania...



Cmentarz dzieci z sierocińca w

Mojun-Kumie. Fot. ze zbiorów

ks. Arkadiusza Paśnika

Zajeżdżamy na podwórko. On woła. Zza domu wychodzi może czterdziestoletnia Ormianka, kruczoczarne włosy. Coś do niej mówi. Trochę zamieszania, psy wybiegły, ktoś jeszcze z domu wychodzi, bo tu nagle czterech mężczyzn wchodzi na posesję. Pytam tę kobietę: *Czy tu jest Grigorij Oganisjan?* A ona: *Da.* Pytam, czy żyje. A ona mówi: *Nie, umarł.* W tym czasie wychodzi na podwórko jej mama Agnesa, później się dowiaduję, jak się nazywają. Moja rozmówczyni to Knarik – córka Agnesy.

Podchodzimy, powtarzamy jej to. Jest cały czas zamieszanie, ta pani ucisza psy. Kobieta jest sędziwa, ma około osiemdziesięciu lat. Tłumaczę jej, że mój dziadek nazywał się Grigorij Oganisjan. Czy tutaj żył? Ona mówi: *Da, żył. Ja jestem żoną Żory, brata Grisy.*

I od razu mnie pyta: *Czy jest rebionok (dziecko)?* Bo mama, Wartanuż, mówiła, że żona Grisy pojechała w ciąży do Polski. Mówię, że jest dziecko. To moja mama. I ona mówi tak pięknym rosyjskim językiem mniej więcej takie słowa, że dzisiaj wielka radość od Boga, że Bóg dzisiaj nam pobłogosławił, że myśmy się odnaleźli, że nasze dziecko przyjechało do nas. Wkłada nam ręce na głowę. Taki mają zwyczaj. I zaprasza oczywiście do domu. Wchodzimy do domu. Pytam: *Czy jest zdjęcie Grisy?* Bo my nie mamy nawet zdjęcia. A ona mówi, że są zdjęcia, one na ciebie czekały.... Pytam, czy będę mógł wziąć dla mamy jedno zdjęcie. A ona mówi: *To jest twoje, to jest twoja własność. Ty to zabierz dla siebie.*

Oglądamy te fotografie. Proszę sobie wyobrazić, że na jednej fotografii widzę po raz pierwszy mojego dziadka. Trudno jakiś komentarz do tego dać. Przypominam obietnicę, którą złożył Grisza. Na odwrocie jednej z fotografii jest coś łamanym językiem rosyjskim napisane. Fotografia jest tak zniszczona, że trudno odczytać.

Podaję tę fotografię Agnesie i ona czyta:

Na pamiątkę kochanej żonie Heni, od męża Grigorija. Pamiętaj... i nie zapomnij mnie.

Jeszcze jedno słowo jest nieczytelne. Nikt nie może go rozszyfrować, ale może tak ma być. „Pamięć z Mojunkumu”. Proszę zwrócić uwagę na datę: 10 marca 1949 r., czyli trzy lata po rozstaniu. Może, tak sobie później myślałem, pisał tę kartkę, kiedy szedł na wojnę, bo go jeszcze skierowano na wojnę.

I teraz dowiaduję się historii Grisy. Poszedł na wojnę. Został ciężko ranny. Leżał na mrozie. Przywieźli go do domu tak wycieńczonego, tak odmrożonego, że wiosną, w maju, pewnie '52 r., zmarł. Wtedy moja mama miała już sześć lat. Pomyślałem sobie, że spełniła się obietnica i że Grisza odnalazł babcię.

Babcia:

Ale jak on przywiózł te zdjęcia, to Halinka przyszła i tu siedzieliśmy. Halinka wzięła zdjęcie i nic do siebie nie mówiłyśmy. Nic. Przez chwilę zatkało nas. Ona patrzyła tylko, nie znając go, wiedziała, że to ojciec. A ja patrzyłam, bo ja z nim byłam.

Halinka dopiero teraz się uspokoiła, jak Arek to wszystko przywiózł. To taka spokojna się zrobiła. Oj, Boże... Pokażę pani zdjęcie, dobrze?



**Matka Józefa, córka Henryka i
wnuczka Halinka, lato 1948 r.
Fot. ze zbiorów ks. Arkadiusza
Paśnika**

Wnuk:

Poprosiłem babcię, żeby odpisała na tę fotografię, na ten list, no, że na listy się odpisuje. Mówię: *Babciu, odpisz*. I po powrocie, tu jest data 1 sierpnia, czyli na drugi dzień ubiegłego roku, babcia odpisuje na tę fotografię. I pisze tak:

Kochany! Dziękuję ci za zdjęcie i za te kilka słów, które na odwrocie swej fotografii napisałeś. Dotarły do mnie dopiero wczoraj. Po 64 latach. Czekałam. Warto było czekać. Przywiózł mi je mój i twój wnuk. Bardzo mi żal, że musiałeś tak młodo żegnać się ze światem.

Babcia:

Bardzo mi żal, że musiałeś tak młodo żegnać się z tym światem. Nasza córka Halina urodziła dwóch synów. Dużo mam ci do opisanie. Tak dużo. Spotkamy się niedługo. Przyjdę do ciebie i wszystko ci opowiem. Cieszę się, że Oganisjanie tak serdecznie przyjęli mego wnuka. Raduje moje serce, że odwiedził Twój grób i Twoich rodziców, że modlił się nad mogiłą. A i w domu u nich odprawił Mszę świętą o pokój waszych wszystkich dusz. Spotkał się z Agnesą, Knarik i Gorjanem. Do zobaczenia już w wieczności, Henia.

Wnuk:

Jeszcze jedno. Tych ostatnich zdań miało nie być w książce, ale one się znalazły. Może zespalają to wszystko?

„Jest wieczór 22 lutego 2014 r., wigilia siedemdziesiątej rocznicy śmierci mojego pradziadka Andrzeja Świderskiego. Z przeszklonej witryny regału wydobywam jego fotografię i ziemię ze stepu. Przypominam sobie, jak zbierałem ją na drodze, między MojunKumem a Enbekiem, uparcie szukając mogiły pradziadka. Jak na mogile, pomiędzy zdjęciem a ziemią zapalam świecę. Modlę się. Przychodzi myśl, aby zadzwonić do Kazachstanu, do Agnesy, Knarik i Garosza. W słuchawce ciepły głos Knarik. Rozmawiamy serdecznie. Świat wydaje się taki mały. Jakie to proste... Dotykam ekranu telefonu i jestem tam, w miejscu, dokąd wieziono babcię w nieludzkich warunkach przez trzy miesiące. Proszę Knarik, aby jutro skoro świt poszła na step i zapaliła za mnie znicz. Knarik mówi, że rozumie. Składa mi obietnicę, że pójdzie, że zanieś na step światło...”.

Tekst pochodzi z nr 1-2/2017 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ